



Pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kullkowskiej.

PRZĄDKI.

Opowiadanie K. Smreczyńskiej.



Dawniej był u nas zwyczaj, że w długie zimowe wieczory schodziły się prządky do niektórych domów, gdzie je radzi przyjmowali; takich domów było ino parę we wsi, bo nie wszędzie mieli czem świecić. — Zrazu świecili smolnymisekami, wykręconymi ze

spróchniałych kłód. Później niejakiś człek przemysłny wziął się na sposób dużo lepszy; poszczypał gnat bukowy na cienkie deszczutki,

zaprawił do warsztaciku, i hyblem strugał wązkie, długie trzaski, zwane — nie wiedzieć dlaczego — ślajzami*). Zaświeconą taką ślajzę zaprawiali w świecznik, zrobiony bardzo poprostu z patyka; jak je wysuszyli dobrze, to się świeciły dość jasno i nie dymiły tyle, co te sęki; ale zawdy musiał ktoś mieć czas i siedzieć przy nich, poprawiać, ucierać węgle, zakładać, zaświecać; była to robota dziadków, albo starszych dzieci.

U starego Porębskiego najpierw zaczęli świecić ślajzami. Tam się też prządky najchętniej schodziły, bo miał chałupę dużą i ławek niemało. Ale niekiedy naszło się ich tyle, że brakło ław i skrzyń, musieli siedzieć za piecem, na piecu, i po wyrkach się ster-

*) Z niemieckiego: Schleise (ślajze) — po polsku: luczywo.

mać, jak padło. Bo nie ino same prządki — przychodzili i parobcy z ciekawości lub na figle, przychodzili też i starsi, co sypiać nie mogli, żeby im czas prędzej zeszedł, albo żeby się pochwalić opowieściami swojemi.

Przychodził tam przy czasie i stary kościelny; umiał nabożnych pieśni moc na pamięć, a choć śpiewać nie dał rady, to przepowiadał słowami, a prządki za nim zgodnie, jak na odpuście, śpiewały.

Nie brakło nigdy i Kaspra od Grzędy, bo ten śpasownik, jak go nazywali, zawdziutki musiał przyjść i z czemsi nowem, co se przez dzień po cichu na wieczór ułożył. Czasem od ślajz i dymu zrobiło się w izbie duszno, to prządki wtedy wybiegły na pole, aby się chwilę ochłodzić; a on tymczasem kądziele pochował, jednemu z chłopczysk poradził leźć u samego progu, światło prz gasił i wypadł za niemi, aby je raptem postraszyć. Prządki, spłoszone, hurmem leciały do izby, potykały się o grzbiet leżącego i przepadały, jak snopki, przeciskane przez wóz, na środek izby. Było obrazy dość, ale i śmiechu. Tak zawdy Kasper umiał coś złowić.

Tym razem smutniej było w izbie Porębskiego, bo zawczora umarła biedna komornica i leżała w trumnie w sieni. Mało kto co i mówił zrazu, a prządki przędły.

— Wszyscy-ście już? — odezwał się stary gazda z za pieca.

— A coż wam ta, dziadku, za tym piecem brakuje? — odpowiedziały prządki. I przędły.

— Co by mi brakowało... Ale kie przyszedł kumoter kościelny, to go trza uprosić, żeby przepowiadał, a wy, młodzi prześpiwujcie, nie zwieszajcie głów. Lepiej jakbądź Boga chwalić, niż o różnościach świata myśleć. W sieni leży niebożyczka, trza by i za jej duszę co zofiarować...

Starzy gazdowie przytaknęli:

— Oj, tak, tak, bo i nam niezadługo tego będzie trzeba.

Jeden z kąta się odezwał:

— Oho, bo ona ta już usłyszysz!

— Bedziesz tam cicho, niedowiarku! Trup nie usłyszysz, ba dusza. No, zaczynajcie, kumie, a ty wszystka zgracho, śpiewaj, ale razem, zgodnie!

Stary kościelny przeżegnał się, a za nim wszyscy, i zaczął zwolna przepowiadać:

»Wszyscy lud je posłuchajcie
I na koniec pożiór dajcie —

Bo dzień sądu, dzień straszliwy
Nadejdzie bardzo smutliwy«.

I ześpiewali parę pieśni: to o sądzie ostatecznym, to o duszach w czyśćcu; kościelny przepowiadał, a ci wiedli nutę, jak które mogło i zdołało.

Aż się wreszcie kościelnemu zaczęło drzemać.

— Idźcie już spać, chrzestny ojciec — doradzali młodzi. — Dyc już dość tego będzie na chwałę Boską, — czy nie?

Stary od pieca, słysząc to, zabiadał:

— Ej, ta młodzież dzisiejsza, ta młodzież! Już sie jej cnie, widzicie?... A tu, choćby całe życie chwalił Pana Boga, toć i tak nie przewiełdzy. O, bo nie! Przyjdzie ona starość ku wam, przybliży sie i koniec. A na ten koniec ostatni nikt sie nie obziera...

Kościelny dorad usłuchnął, bo nie mógł nijak snu przemódz; pożegnał się ze wszystkimi i pomału poszedł.

Teraz chłopcy i dziewczęta zaczęli suszyć głowy starym, żeby im opowiadali ciekawe powieści.

— Wy, dziadku od Wyźniego, opowiedzcie co o strachach! — prosili chłopcy.

— O nie, dziadku, nie o strachach, bo by my sie bały iść do chałup, raczej opowiedzcie co o czarownikach.

Dziadek się nie d ł długo prosić. Wsunął się bliżej światła i zaczął: — No słuchajcie i uwazujcie pilnie, bo co wam opowiem, to prawda. Jakech jeszcze parobkował, to na naszym osiedlu był gazda, przewiskiem Rokita, ale wyście młodzi nie zaznali, bo to wszystko już dawno pomarło. To, moiściewy, na tego Rokitę gadali, a bardziej na jego babę, że oni narabiali z czarami. To też ja nieraz zaszedł z ciekawości i zastałech ją czasem, jak w maślniczce robiła i masło wybierała, to aże-ch sie za głowę łaj ał, bom takiej kupy masła nie widział, jak żyje, ani na plebanji, ani na jarmarku.

— O rety, rety! E coż oni do tego widzieli? — pytały prządki.

— Ba, co widzieli... — odkrzypnęła stary i prawil: — Przeszęp w ogródku mieli, ten, co to zabiera z za dziesięciu miedz mleko i masło.

Młodzi sie zadziwowali i zaczęli pytać:

— A widzieliście też, dziadku, jakie to było?

— Abo to tak łatwo było ujrzeć! Płot był wysoki... Zaglądali my nieraz ukradkiem, to my widzieli liście czarne i szerokie, ale to nic — liście, bo to w korzeniach ma siłę, i to wam takie to nieszczęście: jak go

poruszać wtedy, kie nie trza, to buczy... tak wam wyraźnie buczy. jak wół, kiedy się zbiera bóźdz i darnie nogami wyrzuca.

— O świecie! A kiedyż to taki czas, co go można dostać?

— Hę, kiedy?... E w wilię świętego Wojciecha, koło północy. Wtedy to on nie buczy, da sie dostać. Zawdy go Rokitowa odlewała popłuczką ze skopca...

— Takie, to babom opowiadać! — przerażał Kasper.

— No, czekaj, to ja tu i co innego opowiem... Pasternak sprzedał na jarmarku woły i, jak to zwykle litkup piją, napił sie po swojemu. ledwie sie przychwiał do chałupy. Pieniądze wraz z na półce do garnka i prasnął ciałem na pościel. Przededniem dziewczka wstała i, po ciężkiem niewyspaniu nie przetarłszy oczów, porwała garnek z półki, nakładła w niego ziemniaków dla świni i przystawiła do ognia. Skoro sie uwarzyły, wyspała je do cebrzyka — coś zazberczało, ale myślała, że to skała — utłukła i zanesła do chlewa. Ku południowi Pasternak wstał, zbaczuje se powoli, kany za woły pieniądze: szuka w zanadrzu — niema, w skrzyni i półskrzynku — niema, nareszcie przetrząsnął wszystko w izbie — nie i do ostatka niema. A miał, wiecie, starego ojca... »Teraz już wiem — powiada — Nic inszego, inoś ty, stary, wziął pieniądze. Oddej zaraz, bo jak nie, to...« I brał sie do kija. I tak, moi kochani, straszny kłopot robił z ojcem. »Zabiję cie i zabiję — powiada — jak nie oddasz«. Ociec płakał, ręce przed synem składał, że nie widział, ale to nie pomagało. Aż nareszcie przybaczył se Pasternak, że najlepiej bedzie iść do wróża; ten mu już napewno powie, kto pieniądze wziął. »Poczka!« — powiada ojcu na odchodem — »Jak mi wróż powie, żeś ty wziął, to tu krótka sprawa bedzie«. I poszedł na Zalesie do tego, co go to, wiecie, Czarnym przezywali. Ociec sie znowu bał strasznie i poszedł za nim przysłuchać sie, co mu tam ten czarownik powie. Pasternak zaleciał wartko, wpada do skopciałej izby i co tchu sie spytuje, czy jest prorok. »No, jest, coż ci trza?« — odezwał sie hruby głos z za pieca. i wylazł stamtąd chłop zarośnięty, jak niedźwiedz, a taki, wiecie, był strasznie obdziorny, że ten o mało nie uciekł ze strachu. Ale wróż zaraz wstrzymał go słowami: »No, gadaj, po coś przyszedł? O co ci to chodzi? Myślisz, że nie wiem, choć sie pytam? Przyszedłeś do wiedzieć sie o swoją zgubę. A miałeś wziąć to i to — powiada — a nie wziąłeś«.

Pasternaka dreszcz przebiegł od stóp do samej głowy, bo akuratnie miał wziąć to i owo, ale z pilności nie wziął. Pomyślał se: »Już to prawdziwy wróż, a nie kto inszy, skoro tak umie zgadnąć myśli«. I ze strachem zaczął prosić: »Choć-ech nie przyniósł wszystkiego, com miał przynieść, to wam święcie wynagrodzę, ino chciejcie mi powiedzieć, kto mi wziął pieniądze«. — »No, do-wiesz sie — powiada — ino zaczkaj chwilę«. Poszedł zaraz do komory... Ale to musicie wiedzieć — zboczył stary — że on tam w tej komorze miał djabła małego i radził sie go w każdej okazji, jak kto do niego przyszedł. Tak i tym razem poszedł sie do-wiedzieć, kto wziął za woły pieniądze. Na ten czas przydowlókł sie i ojciec Pasternaka. Ale sie bał wleźć do izby, ino se stanął pod oknem komory i na szczęście wysłyszał, co djabeł powiedział wróżowi. Bo ten, jak wszedł do komory, to zawołał: »Biesu! Powiedz ino, ale prawdę. kto wziął te pieniądze?« — »Pieniądze świnią zjadła. Po pijanemu wrzucił je do garnka, a dzie ka, nic nie wiedząc, świni w tym garnku wstawiła ziemniaki. Ale powiedz tak, że ociec te pieniądze wziął — niech sie ta. i mnie z tego coś dostanie«...

— O ratunecku! — zawołali wszyscy — To tak chciał, coby syn ojca uśmiercił?

— No, juści tak chciał, żeby sie mu dusza dostała. Przecie jasne. Ale słuchajcie dalej. Ociec, jakech powiedział, wysłyszał wszystko i nie czekał, aż syn wyjdzie od wróża, ino czempredzej poleciał do wójta, opowiedział mu wszystko skraja, jak to było, i prosił go, aby wziął urzędników i szedł z nim, bo inaczej to go syn zabije. Wójt sie nie dał długo prosić, wziął urzędników, i poszli. Przed chałupą zeszedli z Pasternakiem. Ten już z daleka grozi pięścią ojcu: »Zapierałeś sie, żeś nie widział, a wróż wyraźnie powie, żeś ty wziął. Oddaj zaraz, bo jak nie, to ja sie ani wójta bał nie bedę... Ale stary był śmiały przy wójcie, odrzekł synowi: »Pieniądze świnią zjadła. Ja wiem. Odżałuj ty przódy świni, a jak sie nie znajdą, to już wtedy rób, co chcesz« — »No, ja tu i świni odżałuję, le jak nie bedzie, to odbeczysz i za pieniądze i za świnię razem«. Porwał kijanie, świnię zabił, i pieniądze sie znalazły. Tak to, moiściewy, dro zy, nie trzeba i wróżom wierzyć. Bo oni choć wiedzą dobrze, to nie powiedzą prawdy. A temu ino, że im djabeł nie da.

— A cóż sie stanie z takim, co z djabełm narabia? — pytali młodzi.

— Ba, co sie stanie... — odrzekł stary Gawęda z za miedzy. — A nie słyszeliście to o Gołębiu, co całe życie z djabłem kupczył? A potem, jak umierał, to taki straszny wiaterek był, że dach zerwało na jego chałupie, drzwi i okna, jak piórka, wydmuchnęło wszystkie, a potem powietrzem niesło, las gęsto ku ziemi, drzewa zginało, jak trawę, jak cieniutkie źdźbła...

— O nie gadajcie chrzestny ojczcie, bo aż cierpki przechodzą po nas...

— Dopiero by to po was cierpki przechodziły, jakbyście wy słyszeli, jak to dusza krzyczy, kie ją djabli powietrzem niesą...

A młodzi między sobą:

— Żeby to kto był taki śmiały, a wyszedł wtedy i przeżegnał powietrze, toby ją musieli puścić.

— Tomy sie rozbiła, jakby na dół spadła.

— Coż znowu! Przecie to dusza, nie jajo...

— Gadajcież więcej wy, chrzestny ojczcie z za miedzy, boście wy dużo po świecie chodzili.

— Edyc tak, moje dzieci, nałaził sie ta człek dość, i przy wojsku sie służyło, przeganił człowieka od kraju do kraju, ani sie nie spamięta tych miejsc i okolic, to też ta człek nie jedno i widział i słyszał. Dowiedzieliście sie trochę o czarach i wróżkach, to ja wam teraz powiem o strzygoniach.

— Rety!

— Jakech jeszcze był parobkiem, to nam tatuś opowiadali, a im znowu opowiadał stary gróbarz, Rapta: Jak umarł Grzesiak z Wyrobisk, to więcej jak pół roku chodził po śmierci: niejedno go widział, bo nim telo zeszło czasu, i nim on telo schodził dróg, to sie przecie nie z jednym musiał spotkać. A najwięcej o nim opowiadała jego baba. To też strach był w całej wsi, nikt nie śmiał wieczorem iść, bo sie bali, bo to nie co inszego z umarłym sie spotkać — a on w każdziuteńką noc chodził. Zrazu to sie go i baba jego bała, pono ta i u księdza była, żeby co zaradził — ksiądz nabożeństwo odprawił, kazał sie modlić, dał i święconej wody, ale to nic nie pomagało. A potem to już i przywykła; bo, moiściewy, on ta nie próżnował, jak zaszedł; snopków omłócił parę, drew urąbał, a jak trza było, to i do lasa objechał po nocy.

— Oj rety, rety! Dyć to trudno miała być prawda! — podniosły sie głosy pośród młodych.

— Jakby nie była prawda, toby starzy ludzie nie gadali. Nie cudujcie sie daremno, raczej słuchajcie dalej. I tak, jak powiedziałem, długi czas do niej chodził. Trafiło sie dnia jednego, że ją odwiedziła kumoszka. »Bójcie sie Boga — powiada — i wy nic na to nie radzicie, że ten nieboszczyk tak chodzi? A wreszcie wam łeb urwie, i tak sie skończy«. — »Co bedę radzić? — odrzekła ta — Jak wiecie co, to doradźcie«. — »A dyć ja po to do was przyszła, coby wam doradzić. E idźcież do gróbarza, zawezcie mu choć kurę, a on mu ta już da radę«. Ona też usłuchnęła odrazu i poszła i opowiedziała mu, jak jest. »Zmiłujcie sie — powiada na końcu — abo go zagrzebcie tak, coby już nie wylazł, abo co... Rapta popatrzał na nią: »A co wy se myślicie, że sie strzygoń da zagrześć? Choćbych go i najgłębiej zagrzebł, to wylezie. Bo wy nie wiecie, ale jawiem... Taki strzygoń ma dwa duchy: jeden, jak u zwyczajnego człeka, a drugi tak po nocach błąka sie i błąka; jak sie spotka z takim drugim, to sie strasznie bedą bić, na zabój, choćby ten drugi był w żyjącym człeku«. Kobieta aże trzęsła sie od strachu, a on jej dalej: »No, nie bójcie sie. Co mi dacie? to poradzę«. — »Mościewy, co już chcecie, to wam z chęcią dam, ażeby ino raz pomogło«. — »No, idź, babo, do chałupy, on ta już w tę noc ostatni raz przyjdzie«...

— Oho! to on jej ta już łeb urwie! — krzyknęły przadki.

— Cicho-że bądźcie! Słuchajcie do końca. Wieczór stary gróbarz, Rapta, poszedł na cmentarz, siadł se koło kostnicy i czekał, czekał godzinę jedną, dwie, może i więcej. Aż nareszcie sie i doczekał. Strzygoń, zwyczajnie wylazł z grobu, otrząsnął sie, spadła z niego śmiertelna koszula, i taki nagi poleciał. Gróbarz podszedł, wziął koszulę, wylazł na dzwonnice, siadł se przy dzwonnach i patrzył okienkiem. Skoro zapał pierwszy kogut, strzygoń przyleciał na cmentarz, patrzy — koszuli niema. Wtem spostrzegł na dzwonnicy gróbarza z koszulą — leci i woła: »Oddej mi koszulę!« A gróbarz na to: »Pódź se po nią«. Ten wołał jeszcze z dołu, potem pieknie prosił, wreszcie, widząc, że nie wskóra, zabrał sie po nią. Jak już był blisko dzwonnów, Rapta uderzył prawą ręką trzy razy w serce dzwonu — dzwon odjęknął trzy razy — i strzygoń spadł, i nie ostała z niego ino kupka smoty.

Teraz sie zrobił gwar w izbie. Jedni mówili, że to może nie prawda, a drudzy potwierdzali, że tak musiało być.

— Prządki prosiły, żeby już o strachach więcej nie gadali. Wtedy Błazek się wyrwał:

— To ja opowiem o boginkach. Widziałech je na własne oczy, jak prały w potoku.

— Nie! nie! — zakrzyczeli chłopcy, radzi, że się prządki boją. — Niech jeszcze chrzestny ociec powiedzą o strzygoniach.

— Kanyż się Kasper podział? — zauważyła któraś, w tej myśli, że przerwie opowiadanie.

— Edyc go nima, doprawdy.

— Znowu cosi nowego wystroi...

Ucichły, bo Gawęda rozpoczął już prawić:

— Kiedy tak, to wam opowiem, co się mnie samemu przytrafiło. Przedtem, nim mnie do wojska wzięli, służyłem na Zalesiu. I tak, jak to, wiecie, parobiska — przyszła niedziela, to my się zesłi do karczmy, a zabawiwszy się, wracali późno i nieraz mocno napijani. A tam też chadzał se strzygoń po nocy. Jak szło dwóch razem, to ni miał śmiałości, ale jak jeden, a spotkał się z nim, to już mało żywego puścił. My też, rada w uradę, poszliśmy do gróbarza, zanieśliśmy mu kwartę wódki i prosimy go: jeżeli miarkuje, który to tak chodzi, żeby odkopał i przewrócił go w trumnie, bo my tak skądśi słyszeli, że to pomoże. Gróbarz obiecał, że tak zrobi. Ale i to nic nie pomogło. Bo zaraz w niedziele jeden z towarzyszków naszych, wracając późno, spotkał się z nim — i ten go zdusił, zdusił i wepchnął do potoka. Szczęście, że mój gazda poszedł wczes rano do kowala — idzie — a tu charczy coś w potoku; wyciągnął go i zawłókł ledwie dychającego do chałupy. Wtedy ja se pomyślał: »Poczekaj-że ty, kiedy tak«... Poleciał ja, wziął jeszcze kwartę wódki i dalej do gróbarza! Powiadam mu: »Abo mu głowę utnijcie, abo co, bo to nic nie pomogło«. Gróbarz się napił raz i drugi i powiada: »To dobrze, to ja mu utnę głowę«. — »No, moiściewy, ino pewnie!« — »No, nie bój się już, nie«, Na drugi dzień wypadły imieniny mojego gazdy; i wygnali mnie po wódkę ku samemu wieczorowi, a

do karczmy było dalekawo, nim-ech zaszedł, to się już wieczór zrobił. Żyd mi nalał wódki do flaszek i mn'e poczęstował. Ja se jeszcze sam kazał kwaterekę, coby mi się raźniej szło. Wreszcie śpiewam se i idę; uszedłem już pół drogi, a tu coś gwizda. Obejrzę się — a tam idzie cosi za mną. »No, pódź-że prędzej, to pódziemy razem!« I przystanę-łem. Skoro przyszedł bliżej — patrzę — a ten niesie łeb pod pazuchą. »Tyś mi to kazał łeb uciąć?« — powiada...

— O ratunek! I coż-eście wtedy zrobili?

— O moiściewy! Jak-ech też zebrał nogi, to nie wiem, kiedych się znalazł przed chałupą, i telo zdołał: kijem prasnąć w okno, że gazda w izbie usłyszał. I to całe szczęście było — bo mnie już przysiadł na ziemi... Gazda przecie z ludźmi wypadł, i obronili.

— No, chwałaż Bogu! — odetchnęli ciężko słuchający.

Dziewczęta pociskały kądziele.

— Już nie gadajcie więcej. Nastraszyliście nas, jakże pódziemy?

Kogut zapał na północ. Już się wszyscy zabierali.

— A kanyż Kasper?

— Ho! ho! ho! On ta nie poszedł spać...

Prządki, przeczuwając jakiś nowy figiel, stanęły w kupce przy drzwiach, razem rzuciły gospodarzom: »Ostańcie z Bogiem!« i razem wyszły do sieni.

Naraz podniosły straszny wrzask i wpadły poprerażane do izby.

— Ratujcie! wszyscy święci! Niebożyczka się w trumnie rusza...

Wszyscy się w domu potrwożyli. Ale starsi gazdowie, nieco śmielsi, wzięli światło i wyszli wyjrzeć do sieni, a za nimi w kupie młodzi. Patrzą — a niebożyczka, wyrzucana z trumny, leży na ziemi, a trumna zamknięta.

Porębski stary mocno się obruszył:

— Nie! taki figiel, to już żaden śpas...

— Trza ją napowrót włożyć.

Podejmują wieko — a tu w trumnie leży Kasper — doznaku umarty.



ŚWIĘTO DRZEW.



Święto drzew powstało naprzód w Ameryce. Tam się już rozgałęziają i zieleńią w słońcu setki tysięcy drzew przeróżnych, posadzonych drobnymi rączkami dzieci. I ten przepiękny zwyczaj, idąc po krajach z za-

swoje drzewko i sadi, a ksiądz tej pracy błogosławi, a nauczyciel doradza, a ludzie się temu z boku z uradowanem sercem przypatrują — i tak się wszystko pięknie ładnie w dzień wczesnej wiosny odbywa. Każdy czuje święto w duszy, widzi je dookoła — i to jest »święto drzew« — radośne święto.

Takich świąt »raz do roku« niedużo było w Galicji. W Zakopanem naprzód je ustanowiono i uchwalono obchodzić je co wiosny i jesieni. Jak dobry zwyczaj, to się wszędzie przyjmie i za niedługo stanie się powszechnym. A dobrym jest, przedobrym



Uroczystość sadzenia drzewek w Częstochowie.

chodu, do nas, do Polski doszedł. Ludzie, mający ochotę w sercu i dobro wszystkich na uwadze, rozpowszechniają go, gdzie ino mogą. Już nie w jednej miejscowości Królestwa Polskiego zazieleniły się godnie puste dawniej pola; a oto widzimy na obrazku uroczystość sadzenia drzewek w Częstochowej. Podobne uroczystości odbywają się przy sadzeniu wszędzie: Wychodzi dziatwa z chorągwiami, z muzyką i śpiewem, każde bierze

z tych chociażby przyczyn: że się dana miejscowość upiękni drzewami i zdrowsza będzie ludziom, niż pustać bezdrzewna, że dzieci się nauczą szanować młode drzewka, bo je same sadziły. To już wiele.

Przeto każdy z ludzi chętnych, rozumiejących to dobro wyraźne, niech się stara w swojej gminie wprowadzić »święto drzew« po wieczne czasy. Pamięć jego pozostanie i rósć będzie z drzewami — ku niebu.





ŚWIĘTO DRZEW.

I.

Sadźmy drzewka małe, letnie,
Niech na duże rosną —
Niech je żywią rosą kwiećnie,
Maje mają wiosną.

Sadźmy, sadźmy po jednym,
Bo miejsca niemało —
By potem jedno drugiemu
Nie zastępowało.

Sadźmy rzędem, jak te linje,
Od kraja do kraja —
Niech się po całej równinie
Zieloność rozgaja.

„A choć je śnieg poprzygniata
J zaspasy zasują,
Przyjdą na nie bujne lata,
To się wyprostują.

II.

Bierz każdy swoje drzewko:
Sadź, uważnie sadź,
Pomagaj sobie śpiewką
J sposobem radź.

„A sposób, to nie cuda:
Wiatr się nie uczył siać —

„A śpiewka, jak się uda,
To ją i warto znać.

Bierz każdy swoje drzewko:
Sadź, uważnie, sadź,
Pomagaj sobie śpiewką
J sposobem radź.

III.

„A czyżaż to będzie dumą,
dumą radośną,
Jak te drzewka małe, listne
w drzewa urosną?

Jak się potem zajmą w górę
i jak zaczną rósć —
J, jak szczyty, poczną chmurę
wierzchołkami bósć?

Będą ci się dowiadować,
niby o cudzie,
Będą koło nich idący
przystawać ludzie:

„Kto je tu siał, kto je rzędem
równiutko sadził?
Kto tu za ich małowecia
koło nich radził?“

Władysław Orkan.



Jeszcze nie zginęła!...



Wszyscy znamy długą pieśń: »Jeszcze Polska nie zginęła«, — nie wszyscy jednak wiemy, że powstała ona dawniej, niż przed stu laty — daleko od ojczyzny, za górami za lasami, i że śpiewały ją najpierw legjony, czyli wojsko polskie, które się utworzyło aż het, we włoskim kraju. Było to tak: Polacy nie mogąc, po upadku powstania Kościuszkowskiego, walczyć u siebie za wolność ojczyzny, spieszyli za granicę i zaciągali się tam do legjonów polskich. One legjony miały na celu dopomagać Napoleonowi w wielkich wojnach, które sławny ów wódz prowadził wówczas z całą niemal Europą. Otóż ojcowie nasi mieli nadzieję, że Napoleon zwycięży i naszych wrogów, a wówczas — w nagrodę za pomoc, za waleczność i ofiary, za krew i blizny — dopomoże im do odbudowania ojczyzny. Dzieje legjonów zapisały chlubną kartę w historii porozbiorowej Polski, a znać je i krzepić niemi ducha to obowiązek Polaka. Więc też spróbuję opowiedzieć Wam tutaj, drodzy przyjaciele, w krótkich, — choćby najkrótszych słowach o pierwszych naszych legjonach, których twórcą był Jan Henryk Dąbrowski. Imię to pamiętacie pewnie, bo i pieśń je powtarza:

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!
Za twojem przewodem
Złączym się z narodem!

Brutalna siła zewnętrzna nie zabija narodu, który posiada w sobie moc żywotną i warunki dalszego istnienia. Więc i Polska, po upadku powstania Kościuszkowskiego, podnosiła się zwolna z pogromu na polu maciejowickim i zwracała blade męką czoło ku świtom nadziei. Błyskały one zdala, niepewne, migotliwe, złudne może — ale błyskały!

Ci z pomiędzy wiernych synów ojczyzny, którzy uszli śmierci na polu bitwy lub kaidan, do obcych śpieszyli krajów. Na dobrowolne szli tułactwo nie po to, aby szukać obfitszego dla siebie samych chleba, lecz aby pracować dla Polski, aby wołać głosem wielkim, że się stała „straszna krzywda pol-

skiej włości i wszystkim wolnym ludom w ich wolności!“ Turcja i Szwecja, zagrożone w swem bezpieczeństwie nagłym wzrostem sąsiedniej Moskwy, gościnnie witały naszych pielgrzymów, dawały im chętny posłuch, nie szczędziły obietnic. Ku Francji wszakże zwracały się przedewszystkiem nadzieje Polaków. Burząc trony despotyzmu, znosząc przywileje, Francja głosiła szczytne hasła braterstwa ludów, obiecywała pomoc uciśnionym narodom. A któż bardziej od Polski miał prawo do tego tytułu? Zbrodnia, na niej dokonana, stała się w dzień biały.

Na ziemi też francuzkiej skupia się najlicniejsza gromadka naszych wychodźców, w Paryżu powstaje pierwsze stowarzyszenie polityczne polskie. Wysłańcy tego stowarzyszenia śpieszą do kraju pod cudzoziemskimi nazwiskami, w charakterze kupców, agentów handlowych, podróżników. Jedni z nich, dostając się w ręce wrogów, tracą wolność, — inni, szczęśliwsi, przenikają do miast i dworów, krzepią dobrą wieścią zgnębionych na duchu, budzą wiarę i nadzieję, zachęcają do działania, do pracy dla przyszłości, dla Polski, dla drogiej!..

Dzięki wpływom tych ludzi hartownej woli, szczerego poświęcenia, zawiązuje się w Krakowie dawnym zwyczajem konfederacja, czyli związek, — powstają tajne stowarzyszenia w Warszawie i Lwowie. Stosunki między wychodźstwem a pozostałymi w kraju współbraćmi stają się coraz częstsze, utrzymują kraj w stanie ciągłego wzruszenia, nie dają mu zapaść w sen śmierci, który ogarnia najczęściej narody zwalczone.

I oto 9. stycznia 1797 r., generał Dąbrowski, waleczny żołnierz powstania Kościuszkowskiego, zawiera ugodę z rządem Rzeczypospolitej Lombardzkiej, na północy Włoch położonej, a wkrótce potem za górami, za rzekami, pod słonecznym niebem włoskiem, powstaje pierwszy związek siły zbrojnej, powstaje legjon, organizuje się zastęp mścicieli...

To, o czem gorętsze tylko serca marzyły, jako o cudnej, dalekiej przyszłości, spełnia się teraz nagle: Polska, skazana na zagładę, woła chrzęstem oręży swoim i obcym, przyjaciółom i grabarzom: »Żyj!« a

krwią bohaterstwem świadczy, że ma prawo życia, że nieśmiertelność zdobyć sobie rafi!

Ad padającymi pod śmierci pokosem, abyż nie powstać z ziemi obcej, — i nad tym których miecz zwycięzki wypruwa serca z ruskich i niemieckich piersi, powiewa

przez góry i rzeki, wolna, skrzydlata, na północ, do wielkiego więzienia, co się Polską nazywa. Nie zatrzymać jej czatom granicznym Niemców i Moskali, ani murem, zamkom i rygłom nie uwięzić czarodziejki! Wraca do Ojczyzny, uwija się, niby jaskółka, pod strzechą uspioną; leje balsam kojący w udre-



Jan Henryk Dąbrowski, twórca legionów.

wysoko w słońcu — jak za dni wolności i chwały — srebrny ptak ze sztandaru, a z pola bitwy, zoranego kulami, bije w niebiosy pieśń tryumfalną: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

I leci pieśń cudna tam, dokąd biegnie myśl i dusza śpiewającego legionisty: leci

czoną duszę starca, — o błękitnych przestworach bez granic śpiewa w ciasnych lochach zamkniętym; żądzą czynu zapada w serce młodzieńca i wichrem błyskawicowym unosi go, zwodnica, lecąc z powrotem przez góry i rzeki, pod słoneczne niebo Włoch na pole bitwy, zorane kulami...

I siła zbrojna legionów wciąż rośnie. Dąbrowski wydał 20 stycznia odezwę do rodaków, wzywając ich na wielki bój »za sprawę, wspólną wszystkich narodów, za wolność«, a w pierwszych dniach kwietnia stało już pod znakiem białego orła sześć tysięcy bojowników, między którymi byli przedstawiciele wszystkich warstw narodu.

Chrzest pierwszej krwi otrzymują ci waleczni, uśmierzając zbrojne bunty, wzniecone przez arystokratyczno-klerykalne stronnictwa dla obalenia rzeczypospolitych, utworzonych ze zdruzgotanych tronów, podbitych królestw. Zagrożone miasta wzywają — jedno po drugim — pomocy legji. A nasi tak chwacko się sprawiają wszędy, że rząd Rzeczypospolitej Lombardzkiej przesyła urzędowe podziękowanie Dąbrowskiemu i składa mu w darze honorowym pysznego rumaka z kosztownym rżędem, a grób pułkownika Liberadzkiego, zdobywcy Verony, który poległ pod murami tego włoskiego miasta, ozdabia marmurową płytą z rzewnym napisem, — polskie zaś bataljony dostają, w znak uznania, nowe sztandary.

Znacząc pochód zwycięstwami, posuwa się legja ku Rzymowi i wkracza w bramy tego miasta 3 maja 1798, w siódmą rocznicę konstytucji, co miała Polskę odrodzić. Karol Kniaziewicz, też żołnierz powstania Kościuszkowskiego, który, po wydostaniu się z więzienia w Kijowie, pospieszył dzielić z Dąbrowskim trudy i chwałę na czele legji, zaciąga wartość w wiecznem mieście. I oto garstka wyzutych z ojczyzny tułaczy, »niemająca swej ziemi na jedną już stopę, mierzy krokiem zwycięskim zdziwioną Europę«, zasiada prawem zdobywców, w sławnym Rzymie. A tu spotyka ją zaszczyt niemały: Konsulat rzymski składa walecznym Polakom w darze szablę, którą Sobieski obronił niegdyś Austrię od dzicy pogańskiej, i wręcza Kniaziewiczowi chorągiew Mahometa, zdobytą przez tegoż króla w odsieczy wiedeńskiej.

Korzystając z dłuższego w Rzymie wyczynku, szeregowcy legionieści, zmieniają oręż na kosy, na sierp i śpieszą zbierać bujne plony żyznych łąk i pól rzymskich. — Hej, słodkoż było naszym Bartkom i Maćkom wyteżyć ramiona w ulubionej robocie! Przypominała im się wioska rodzinna i własna chata i polskie łąny — polskie niebiosy...

Czas wolny od pracy poświęcają zdobywaniu oświaty: uczą się, czytają wydawaną dla nich przez oficerów co 10 dni gazetkę, bo — jak mówi rozkaz dzienny Dąbrowskiego — »żołnierz legionista powinien zdobyć sobie

szacunek świata nie liczbą zbrojnych szeregów, lecz cnotą, moralnością, wyższą, niż pospolitych żołdaków wykształceniem

Wojna w okolicach miasta Neapolu powołała legionistów ponownie do broi. We wszystkich walkach, które 16 tysięczny wojsko republikańskie staczało tam z 60 tysięczną armją, dowodzoną przez austriackiego generała Macka, Polacy szli zawsze w przedniej straży, a waleczność ich rozstrzygała niejednokrotnie o zwycięstwie.

Największą jednak chwałą okryli się legionieści 4. grudnia pod miastem Civit Castellana, gdzie 6 tysięcy Francuzów i Polaków odniosło zwycięstwo nad 40 tysiącom nieprzyjaciela. Kniaziewicz rozbił w tej bitwie środek neapolitańskiej armji, wziął 3 tysiące jeńca, 16 armat, bagaże i chorągwie, a wysłany przez niego na lewe skrzydło z dwoma bataljonami grenadierów Białowiejski zgniotł nieprzyjaciela doszczętnie. Sam nawet hrabia Sakki, który dowodził tem skrzydłem, dostał się ciężko ranny, w ręce grenadierów polskich, i jedynie dzięki niepospolitej odwadze zdołał ujsć niewoli.

Zdobycie 22. stycznia Neapolu przez francusko-polskie wojsko zakończyło wojnę, a zwycięska Francja wzniosła na gruzach dawnego despotyzmu siódmą z kolei rzeczpospolitą pod nazwą Partenopejskiej.

Jenerał francuski Championnet (czytaj: Szampjone), pragnąc złożyć publicznie hołd męztwu i waleczności Polaków, polecił Kniaziewiczowi, aby ów odwiózł do Paryża, jako chlubną zdobycz wojenną, trzydzieści pięć sztandarów, zdobytych na Neapolitańczykach. Było to uważane w owych czasach za najwyższy zaszczyt, jaki mógł spotkać wojskowego. Kniaziewicz przyjął chlubne zlecenie z wdzięcznością, ciesząc się myślą, że blaski jego chwały opromienią cierpiącą Polskę, — ojczyznę kochaną.

Kilkudniowe uroczystości paryskie, spowodowane przybyciem Kniaziewicza, zakończyła wspaniała uroczystość zasadzenia drzewa wolności przed pałacem, w którym zasiadała wówczas najwyższa władza republikańskiej Francji. Kniaziewicz, udarowany bronią honorową, bo rządy rewolucyjne, nieuznając orderów, nagradzały taką pamiątką walecznych otrzymał nadto listy dziękczynne od ministra wojny i Dyrektorjatu, czyli władzy najwyższej republikańskiej. Oba te dokumenty, jako zawierające nader pochlebne uznanie zasług, położonych przez legję, zostały jej ogłoszone przy rozkazie dziennym.

Po tryumfach przyszedł jednak ciężkie chwile dla armji francuskiej, a więc i dla naszej legji.

Państwa despotyczne, zagrożone w swem istnieniu zwycięstwami republikańskiego oręża, utworzyły ponowne przeciwko Francji przymierze.

Armja państw sprzymierzonych — bez posiłków moskiewskich — liczyła 300 tysięcy, podczas gdy Francja posiadała zaledwie 170 tysięcy wojska.

Pierwsza Austria wystąpiła z tamtej strony na linję bojową. Obie armje spotkały się 26 marca nad rzeką Adygą. Legja polska, walcząc w przedniej straży, dokazywała cudów męstwa. Bagnet jej wyparł nieprzyjaciela za rzekę i pędził go aż pod miasto Veronę. Ale świetne zwycięstwo okupują Polacy stratą kilkuset szeregowców i wielu oficerów. Między tymi ostatnimi zginął waleczny pułkownik Darewski w chwili, gdy zdobywał bagnietem armatę. Niegdyś konfederat barski, później kościuszkowski żołnierz, Darewski, pomimo lat 70ciu, pośpieszył, niby stary orzeł, na nowe boje. Pierwszy też zwykle szedł w ogień bojowy i porywał szczytnym przykładem młodszych towarzyszy.

W późniejszej nieco bitwie pod Magnano, stoczonej w dniu 5. kwietnia, a nieszczęśliwej dla francuskiego oręża, legja, co szalała, jak burza, na krwawem polu, tracił tysiąc żołnierza w zabitych, rannych lub jeńcach. Poległ w tym dniu krwawej pamięci waleczny generał Rymkiewicz, a ostatniem jego westchnieniem były słowa: »Czemuż w ojczyźnie nie mogę umrzeć!«

Po przegranej pod Magnano, jeden z wodzów polskich, dostaje rozkaz pozostania z drugim legionem w mieście Mantui, a broniąc przez kilka miesięcy onej twierdzy, traci trzy tysiące ludzi, resztę zaś jego oddziału niecny komendant francuski wydał — przy poddaniu się twierdzy Austriakom — na pastwę zemsty i gwałtów rozszroczonych wrogów.

Dąbrowski tymczasem na czele pierwszego legionu walczy w otwartem polu przez 14 miesięcy wśród warunków jak najtrudniejszych, które pogorszyły się bardziej jeszcze, gdy 14 kwietnia nadbiegł ku pomocy Austriakom generał moskiewski Suworow, wiodąc ze sobą 40 tysięcy doborowego wojska.

W walce z wrogami ojczyzny zdobywa teraz legja nowe laury, a za każdy płaci krwią i życiem bohaterskich towarzyszy. Przy zdobyciu miasta Kortony zginął, wraz z wielu innymi, major Kamiński, człowiek

żelaznego hartu. Pomimo ciężkiej rany, odebranej w pierwszej niemal chwili, prowadził, brocząc krwią, oddział swój do ataku, a gdy granat urwał mu i drugą nogę, czołgając się na rękach i kolanach, służył do ostatniej kropli krwi sprawie, którą poślubił.

W morderczych bitwach nad Trebją, pod Novi, koło Genui i innych, Polacy złożyli również dowody nadludzkiego niemal męstwa, bohaterskiej pogardy śmierci, ale ponieśli zarazem dotkliwie straty. Sam Dąbrowski, znajdując się w ciągłym ogniu, otrzymał kilka ran, a w bitwie pod Bosco ocalała mu życie jeno ksiązka, którą miał w bocznej kieszeni munduru i w której uwięzła kula, wymierzona w serce bohatera.

I nie same tylko bagnety moskiewskie, austriackie, angielskie sjały spustoszenie w szeregach legji — przeredzała je również nędza. Cała armja francuska znajdowała się wówczas w opłakanym stanie, ale Polakom, o których nikt się nie troszczył, przypadły w udziale najsrozsze męki.

»Ponosiliśmy nędzę, przechodzącą wszelkie pojęcie — pisze Dąbrowski w swym pamiętniku — żołnierze byli niepłatni, bez obuwia, bielizny, a nawet mundurów. Rozlokowani w okropnych górach i dzikich skałach, wystawieni na deszcze, śniegi i mrozy, pozbawieni niekiedy wszelakiej żywności, zmuszeni byli żywić się korzonkami leśnymi, a chwili wypoczynku nie mieli, znajdując się zawsze w obecności nieprzyjaciela.«

Kiedy się to działo — we Włoszech, Kościuszek i Kniaziewicz czynili w Paryżu zabiegi co do utworzenia nowej legji polskiej nad rzeką Renem. Jakoż sformowało się tam wkrótce wojsko polskie i wspólnie z armją francuską, na której czele stał generał Moro, sławne pod wodzą Kniaziewicza staczało boje.

Któż zdoła opowiedzieć wszystkie, godne pamięci, czyny tego legionu? Każdy szeregowiec był tu bohaterem. Niezasługujeż na miano bohatera ów ułan Pawlikowski, nicpiśmienny chłop polski, który w bitwie pod Hohenlinden trupem położył austriackiego kapitana i porucznika, oddział zaś ich, złożony z 57 szeregowców, wziął w niewolę sam jeden, bez niczyjej pomocy. A spełniwszy ów czyn, godny zastąpić w najdalszej potomności, nie przyjął w nagrodę ani stopnia oficerskiego, ani znacznej kwoty pieniężnej, bo — jak tłumaczył zdumionym Francuzom — Polacy biją się nie dla złota i zaszczytów, lecz za wolność i ojczyznę? — Alboż nie wygląda na śmiałka z bajki chwacki grenadier

Trandowski, co pod Salzburgiem założył się z towarzyszami o halbę wina, że porwie z konia księcia Lichtensteina, który przyglądał się właśnie bitwie ze wzgórza, w otoczeniu swego sztabu, — no i zakład wygrał? Jako żywo: łąc żalu nad smutnym losem naszych legionów osusza wnet płomień zapału dla czynów, którymi ci waleczni głosili przed światem sławę polskiego imienia!

Nazywam los legionów smutnym, bo posłuchajcie jeno, drodzy, co się stało, jak czarną niewdzięcznością zapłacono Polakom za ich zasługi, za ich męstwo i poświęcenie bezprzykładne.

Powrót Napoleona z Egiptu i przybycie tego sławnego wojaka do Włoch na czele świeżych zastępów w maju 1800 r. przychyliły szalę powodzenia na stronę Francuzów. Szereg głośnych zwycięstw, zakończony sławną bitwą pod Marengo, uwolnił ziemie włoską od wojsk austriackich, angielskich, rosyjskich.

Lecz oto co się nie dzieje? Wkrótce potem, 26 stycznia 1801 r. strony wojujące podpisały w Lunevilu traktat pokoju. Napoleon nie życzył sobie dalszej wojny z monarchiami, bo z obrońcy wolności zamierzał sam przedzierzgnąć się w jej gnębiela i zaćmić koroną cesarską gwiazdę genjuszu, która płonęła mu nad czołem.

Wobec takich zamiarów legjony polskie, które liczyły wówczas 15 tysięcy wyborowego wojska, były mu już niepotrzebne, a nawet sprawiały mu kłopot, bo mogły ściągnąć niechęć państw rozbiornych: Rosji, Prus, Austrii. Więc dumny ów samolub postanow-

ił je zniszczyć. Jakoż część ich odesłano wkrótce pod nazwą cudzoziemskich brygad do południowych Włoch, a koło 6 tysięcy legionistów wsadzono, pod groźbą dział, na okręty i wysłano na wyspę San Domingo, aby zwalczali tam murzynów, którzy bronili przed Napoleonem swojej wolności. Straszna spotkała dola walecznych legionistów na onej dzikiej wyspie. Jedni z nich ginęli od broni Murzynów, inni wymierali gwałtownie na żółtą febrę.

Z sześciu tysięcy wróciło do Europy 400 zaledwie.

* * *

Tak się przedstawiają w dwóch słowach opowiedziane, dzieje pierwszych naszych legjonów. Wrocie okoliczności nie pozwoliły urzeczywistnić marzenia, które im przyświecało gwiazdą zaranną w bojach i zawodach. w zwycięstwach i śmierci: nie odbudowali Polski, ale wysiłki ich nie poszły na marne. Rycerska ich sława krzepiła w strasznych dniach klęski ducha w rozdartym narodzie, a zwycięzki oręż późniejszych legjonów wywalczył względną przynajmniej wolność dla części Polski, z której utworzone państwo nazywało się wpieryw Księstwem Warszawskim, później Królestwem Kongresowem.

Więc też wdzięczna ojczyzna zapisała imiona wybranych synów na złotej karcie swych dziejów, a cały naród otacza korną czią pamięć bohaterów, którzy zostawili im w puściznie tyle »sławy, nadzieji, że staną się zdolni rozerwać jarzmo i umierać wolni!«

M. Wystouchowa



Śląskie dziewoje.

Opowiem wam, jak od święta
Śląskie stroją się dziewczęta:

Naprzód „lelnik“ z galonkami
I „żywotek“, nitczkami
Wyszywany złotemi.

Z przodu fartuch rozwiesisty,
Jedwabny — czysty, kwiecisty,
Z wstążkami długimi...

Włosy gładko uczesane,
Po polsku w warhocz związane,
„Bandlami“ kraśnemi.



Ślązaczka w czepeczku, jako kobieta zamężna.

Na głowie „szalka“ wzorzysta,
Lniana albo jedwabista,
Pod brodą związana.

Pod spodem spódniczka biała,
Wyszywana ręcznie cała
Naoholusieńko...

A na nóżce bucik zgrabny
Na pończoszcze białej, ładnej,
Aż się gubi słonko...

Nie opowiem wam już dalej:
W potshich sercach krew, miast stali,
Wnetbyście się zahochali...

Listy do „Zorzy“.

W styczniu. Pietrzykowice.

Do Redakcji „Zorzy“.

Przypadkowo czytałem jeden numer „Zorzy“ i życzę jej, by była rozsiąta, jak liście po borze. Bo ledwiem ją przeczytał, tak się mi spodobała, zawdy mi myśli do niej idą, jak liści nawała. I bez „Zorzy“ już dalej obejść się nie mogę, — a więc dalej po nią, liście, aż do Lwowa w drogę! I witam was, Czytelnicy, dla mnie jeszcze nowi, z serca wam życzę, byście byli zdrowi, żebyście, jak najliczniej czytać mogli „Zorzę“. A „Zorzy“ ze serca posyłam: „Szczęść Boże!“ Przyjmijcie mię w swe grono, mili Czytelnicy, niech się w poczet abonentów syn wieśniaka wliczy. Piszę więc po „Zorzę“, gdzieś tam aż do Lwowa, której jest wydawczynią Marja Wystouchowa: „Proszę przysłać mi „Zorzę“, dla mnie jeszcze nową, a pozdrawiam z serca Marję Wystouchową!

Upraszam jak najrychlej przysłać dla mnie „Zorzą“, i ze serca tej „Zorzy“ posyłam „Szczęść Boże!“

*Karol Baron
syn włościanina.*



Paszczyna w lutym 1902.

Droga Redakcjo!

Nie pisałem oddawna, bom ciężko chorował od 14 grudnia. Choroba ta pożarła wszystko, co miałem zaoszczędzone i uczyniła mię niezdolnym na jakiś czas do pracy. — Jestem synem gospodarza na małym gospodarstwie, więc sobie dopomagam jako tako stolarką. A pociechą największą i uradowaniem jest dla mnie »Zorza«. Więc proszę przysyłać mi ukochaną »Zorzę«, bom tak do niej przylgnął, że bez niej obejść się już nie mogę.

Ośmielam się także prosić Kochaną Redakcję o umieszczenie w »Zorzy« niżej podanego wiersza, który sam ułożyłem.

DO KRÓLOWEJ POLSKIEJ!

Królowo polska w jasnej koronie, która zasiadasz w niebie na tronie, wejrzyj na sługi Twoje w niewoli, wysłuchaj proźby — ukoj, co nas boli! Skrusz moc tyrana, co, jak zwierz dziki, rani polskie dziatki, — ojce więzi, wzbrania im wzywać Twojej

opieki językiem, który od ojców wzięli, — dręczy, znieważa wszystko, co polskie, wiare z serc naszych wydrzeć nam pragnie, lecz my ufamy w te słowa, Boskie: »kto prosi, ten wysłuchanie otrzyma snadnie«, więc się uciekamy, Matko, do Ciebie: z wiarą, ufnością Ciebie błagamy: weź nas w opiekę, wspomóż w potrzebie, niech łaski Twojej wszyscy doznamy! Przejednaj Syna, by się zlitował i Polsce siły dawne przywrócił, by grzechy ojcom i nam darował, by orła białego ze snu ocucił!

Błogostaw »Zorzy«, by jej promienie przenikły nawskróś serca ludzkości, by oświeciły z ciemności ziemię, by za nią zeszło słońce wolności!

*Piotr Pietrzyk,
młody a stały czytelnik »Zorzy«.*



ROZMAITOSCI

Dzień 24. marca uczcijmy i w tym roku wspomnieniem serdecznem. W tym dniu bowiem drogi nasz Naczelnik, Kościuszko, złożył na rynku krakowskim przysięgę, jako powierzonej sobie władzy użyje „jedynie dla obrony całości granic, odzyskania niepodległości narodu i ugruntowania powszechnej wolności“. Był to pierwszy akt powstania, a po nim nastąpiła chlubna walka, w której cały naród, we wszystkich swych warstwach, złożył wody wymowne męstwa, poświęcenia i miłości ojczyzny. A gdzie te cnoty nie wymarły, tam prędzej, czy później musza pęknąć okowy niewoli...

Bohdan Zaleski. Wszystkie pisma mówią teraz o zmarłym przed szesnastu laty poecie, Bohdanie Zaleskim, bo 14-ego lutego upłynęło właśnie sto lat od przyjścia na świat tego pisarza.

Bohdan Zaleski urodził się i wychował na Ukrainie i cudnie opisywał w swych pieśniach roztworzyste pola, bezbrzeżne, niby zielone morze, stopy rodzinnych swoich stron. Adam Mickiewicz, który był szczerem przyjacielem Zaleskiego, ułożył na jego cześć piosenkę, w której zwraca się doń ze słowami: „Słowiezku mój, a leć, a piej!“ — Słowa te wiernie określają poezję Bohdana. Układał on piosenki tak dźwięczne, tak pieściwe dla ucha,

jak śpiew słowika, ale ognistych uczuć, ale głębokich myśli nadaremnieby było w nich szukać. — Jako próbę pisania Zaleskiego przy-



toczę tu drobny wierszyk z setek i setek, które wysnuły się z duszy poety, przepelnionej miłością Boga i Ojczyzny. Wierszyk ów brzmi:

DO ANIOŁA-STRÓŻA.

Odziany w blask,
Przesłańcze lask,
Aniele-Stróżu mój —

Oświecaj, chroń
I w dłoni dłoń
Tocz obok ze złem bój,

Bym w biegu lat
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmas.

Aż czysty duch,
Jak z druhem druh,
Do Ojca wlecim wraz.

O mowę ojczystą. Ucisk i prześladowanie wszystkiego, co polskie, srożą się daleko jeszcze okrutniej w ziemiach naszych, zabranych przez Moskali, niż pod Prusakim. Tyle tylko, że pod rządem moskiewskim, jako w państwie despotycznem, nie wolno pisać o żadnych bezprawiach i gwałtach, więc świat mniej o tem wie. Oto naprzykład w szkołach pod Moskałem nietylko rządowych, — ale nawet prywatnych — kto wie od jak dawna, nie wolno modlić się po polsku. Dzieci muszą odmawiać przed nauką i po nauce modlitwę w języku rosyjskim. Bolało to zawsze srodze naszą dźwiatwę szkolną, ale teraz zajścia we Wrześni dodały jej otuchy, ośmieliły do stanowczego kroku. Zażądała też w kilku gimnazjach, w mieście Siedleach i w Białej, aby zwierzchność szkolna pozwoliła jej modlić się w języku ojczystym, w którym modlili się jej dziadowie i prapradziadowie. Żądanie młodzieży — cho-

take słuszne, wywołały okrutne oburzenie wśród Moskali, którzy postanowili stłumić opór wnet w zarodzie. Jakoż wydalono wnet dzielniejszych uczniów ze wszystkich klas. Pozostali jednak nie dali się tem ugiąć, ani zastraszyć i trwają przy swoim. Niewiadomo więc, jak się sprawa skończy.

Wiec młodzieży akademickiej wyraził — na podstawie jednomyślnej uchwały — cześć młodzieży szkół średnich pod Moskałem, która walczy odważnie o prawa narodowe, o mowę ojczystą!



Rady praktyczne.

»Zorza« liczy — z radością nie małą — spory zastęp stolarzy w gronie Szanownych swych Czytelników. Więc dziś jedną ze swych rad przyznacza

Dla panów stolarzy.

Wielką mają biedę stolarze z wyrobami sklejanymi, które muszą stać w wilgotnem miejscu. Wtedy klej bardzo łatwo puszcza, a publiczność wyrzeka na stolarza, że robi nie mocno. Aby temu zapobiedz dobrze byłoby wypróbować sposób, podany niedawno w jednej z zagranicznych gazet. Ażeby klej nie puszczał w miejscu wilgotnem — mówi owa gazeta — dobrze jest robić tak: Zwyczajny klej stolarski moczy się w wodzie tak długo, żeby napęczniał do gęstości dobrze zsiadłego mleka, ale żeby się nie rozpuścił. Do tak napęczniałego kleju dodaje się lnianego oleju i z nim razem rozpuszcza się na słabym ogniu zupełnie. Taki klej można już użytkować, a gdy wyschnie — mocno stwardnieje i — jak twierdzi fachowa zagraniczna gazeta — wcale nie ulega wpływom wilgoci.

Sposób na rdzę. Gazety fachowe ogłosiły o nowym sposobie zabezpieczenia żelaza od rdzewienia. Radzą one mianowicie brać jakikolwiek tłuszcz zwierzęcy, zmieszać go z terpentyną, rozgrzać i tem za pomocą pędzla powlekać żelazo, które chcemy zabezpieczyć od rdzewienia. Gazety owe głoszą, iż sposób ten jest bardzo skuteczny. A ponieważ nie kosztuje drogo, więc warto go s róbować. — Inna gazeta podaje sposób na zabezpieczenie od rdzy różnych krat i drzwi żelaznych, które są zawsze na powietrzu. Radzi więc ona brać czysty cement i rozrobić go wodą do tego stopnia, aby można

było nacierać niem żelazo za pomocą pędzla. Żelazo, natarte tak rozrobionym cementem 2—3 razy, przez bardzo długi czas nie ulegnie zardzewieniu.



Odpowiedzi od Redakcji.

Do Czytelników na Górnym Śląsku. Witam Was, Bracia, prawą ręką, lewym sercem, jak powiadają ludzie koło Cieszyna. Raduję się, niby słońcu temu, że „Zorza“ i do Was trafiła. Znajdziecie w niej zawdy wiadomości o Ślązakach z Cieszyńskiego. Cieszyniacy miłują Was serdecznie i myślą o Was z miłością i współczuciem gorącym. A Wy czy ich wspominacie?

P. Jerzy Broda na Morawie. A ja inaczej się na to zapatruję: Mnie się zdaje, że Szanowny Pan, aż za dużo zjednał czytelników i więcej nawet uczynił, niż żądała energiczna nasza Ustronianka, w wielkiej swej życzliwości dla „Zorzy“. Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że ja osobiście nie utrudzałabym nigdy i nikogo podobną prośbą. Owszem, jednego właśnie z zapalonych apostołskim ogniem Ustroniaków prosiłam, aby już nie rozpowszechniał dalej gazetki, bo gdzie się znajduje kilkadziesiąt jej egzemplarzy, tam i nie prenumerujący mają dość sposobności do czytania. — Proszę przyjąć życzenie, aby nietylko maszyny dobrze się budowały, lecz aby wzrastał również gmach osobistej pomysłowości, osobistego szczęścia!

P. Wojciech Zawada w Rzeszowic. Wierszyk o Wrześni ładny, ale już było parę tej treści. Więc w kwietniu dam „Oj ty, wierzbi-no“ — do stosownego obrazka. Dziękuję za trafne zrozumienie uczuć, choć niewypowiedzianych. Tak, to prawda: „i nadal — i zawdy — i po kres żywota serce i duch“ pozostaną przy świętej sprawie, — przy sprawie ludowej.

P. W. Straszliczka na Morawie. Oba roczniki „Zorzy“ i bieżące numera wysłaliśmy. Więc chcecie wydoskonalić się w języku polskim, Szanowny Panie? Jak to dobrze! Ślad za znajomością języka i piśmiennictwa danego narodu idzie miłość ku niemu. A pod jasnym promieniem miłości znikają przesady i niechęci, które legną się jeno w ciemnościach...

P. Franciszek Kurc we Frysztaście. Aż za głowę się wzięłam, widząc nieskończenie długi spis nowych nazwisk. Byłe jeno wszystkie znaleźli to, czego się spożywają!... Widzę, że i bracia Ślązacy coraz chętniej czytują gazetkę i coraz częściej sami do niej piszą. A radość mam z tego taką, że to-ż hej!

P. Al. H. w Żydaczowie. To prawda: „Zorza“ jest „jednostronna“, jak Pan mówi — ale musi być taka, bo ma na celu w pierwszym rzędzie dostarczanie karmi umysłowej polskim czytelnikom. Ale, że nie będzie w niej nigdy nie takiego, co by obrażało uczucia braci Rusinów, z którymi związały nas losy historyczne, za to ręczę! „Równi z równymi, wolni z wolnymi!“ — takie było po wsze czasy hasło Polaków miłujących ojczyznę i takie jest nasze. Tem chętniej więc powtórzę zwrotkę końcową z pańskiego wiersza: „Więc pogarda dla hołoty za występne, zdrożne czyny, a niech żyją w zgodzie cnoty polsko-ruskiej ziemi syny“...

P. Józef Rzeszutko w Sieradzy. Prawdziwe zmartwienie sprawia mi Wasza olszynka. Szanowny Panie, jako też sosnina p. Jana Kwaśniaka. Więc źle rosną te laski! A ja się cieszyła myślą, że łaskawy los pozwoli mi kiedyś przechadzać się w chłodnym ich cieniu, wraz z miłymi Czytelnikami „Zorzy“... A możeby dobrze było napisać o tem do „Przewodnika Kółek rolniczych“, z którym Zassów pozostaje w ciągłym stosunku? — Przecież to obowiązek Zarządu postarać się o dobre nasienie i nie narażać ludzi na stratę. Ze swojej strony zrobię jeno skromną uwagę, że grunta może nieodpowiednie dla tych drzew? Sosna bujnie wyrasta na piaszczystej glebie, — olszyna zaś potrzebuje wilgoci... Dziękuję za dobre słowa i za składkę na dzieci wrześni-skie też.

P. Michał Japołł w Nowym Sączu. Młodzień — to „zwrócona ku światłu źrenica narodu“. Któż więc bardziej od niej powołany do tego, aby ku chatom iść i mroczne dotąd ich wnętrza rozjaśniać światłem, co przepaja własną jej duszę? To też — po raz pierwszy, drugi i trzeci: Szczęść Boże w ważnych zamiarach! Numera gazetki wysłę wnet.

P. K. Sikora w Jarostawiu. Wysłaliśmy ponownie. Prawdziwa tu uciecha, że gazetka pozyskuje sobie coraz więcej młodych przyjaciół. Dziękuję!

TREŚĆ NUMERU: Prządki. — Pieśń przy sadzeniu drzew. — Jeszcze nie zginęła! — Śląskie dziewoje. — Święto drzew. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Rady praktyczne. — Odpowiedzi od Redakcji.